

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocamboles

**TAJEMNICZY
SPADEK**
część druga



**Tom
2**

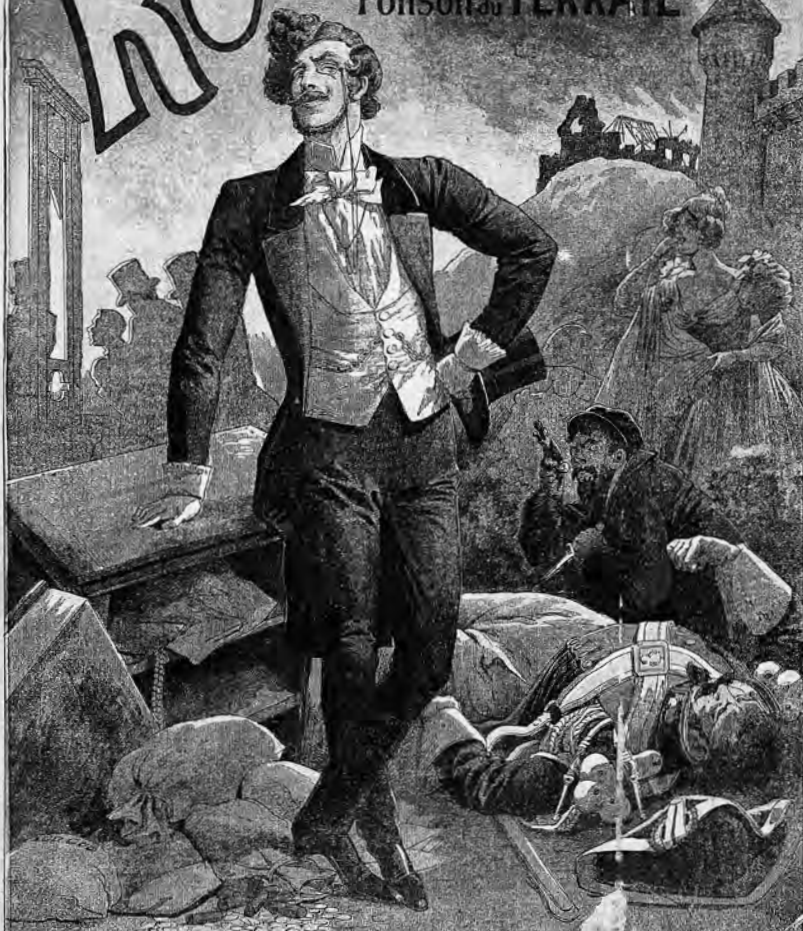


Ruda Śląska 2019
ISBN 978-83-66268-22-7 (całość)
ISBN 978-83-66268-24-1 (część druga)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

De Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{re})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Tajemniczy spadek
część druga



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocamboles

Tajemniczy spadek

część druga



Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2019

*Siedemdziesiąta pierwsza
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ*

*Drugi tom kolekcji
„Rocamboles”*

Tytuł oryginału francuskiego: *L'héritage mystérieux*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2019

28 ilustracji, w tym 24 karty tablicowe kolorowe: Louis-Charles Bombled,
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Kinga Ochojska

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2019

ISBN 978-83-66268-22-7 (całość)

ISBN 978-83-66268-24-1 (część druga)



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszy.pl

e-mail: jamakaszy2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2019

Rozdział XXIX

Pojedynek



Zróbmy krok w tył i pozwólmy pannie de Balder raz po raz czytać ze zdziwieniem dziwny list znaleziony na gerydonie w nieznanym pokoju. Armand, jak sobie przypominamy, zabrał ze sobą Bastiena na ulicę Culture-Sainte-Catherine.

– Mój stary przyjacielu – rzekł do niego – ludzie, którzy kochają, bywają zwykle egoistyczni i zapominalscy. Gdybym zostawił cię na ulicy Meslay, to spędzilibyśmy wieczór u panny de Balder i godziny mijałyby tak szybko, że tak jak wczoraj usłyszelibyśmy, jak wybija północ. Ponieważ jednak nazajutrz mamy być w Lasku Bulońskim o siódmej rano, to aby bronić swego życia, należy przespać całą noc.

– Ba, panie Armandzie! – odparł Bastien. – To jest mi znane. Za moich czasów, kiedy służyłem w gwardii, pojedynkowano się każdego poranka, co nie przeszkadzało nam spożyć wesoło kolacji około północy każdego wieczora, jeśli było jeszcze co pić.

– Ale to było chyba trzydzieści lat temu?

– Może nawet i trzydzieści pięć.

– Wtedy byłeś młody...

– Zgoda, ale dziś jestem równie rześki i silny...

Armand pokręcił głową i powiedział z zadumą:

– Umiesz dobrze władać szpadą?

– Prawdę mówiąc, niezbyt dobrze. Widzi pan, za czasów cesarstwa walczone na bitewnych polach każdego dnia i przez to nie było czasu na naukę w salach fechtunku. Skoro się jednak ujmie za szpadę z odwagą...

– Tere fere! – wyszeptał zadumany Armand i dodał prawie w myślach: – Na ogół Anglicy rzadko kiedy się biją. Oni nienawidzą pojedynków, pogardzają nimi, ale ci, którzy robią wyjątek od tej reguły, a każdy wyjątek staje się ekstrawagancją, muszą czuć dla niego ekscentryczne uwielbienie, właśnie dlatego że ich rodacy to lekceważą.

Tak też musi być z sir Williamsem, ponieważ on absolutnie chce udać się na pole za taką nędzę. Do tych to widocznie należy ów sir Williams, skoro tak uporczywie żąda spotkania dla takiej drobnostki.

– No cóż – rzekł Bastien, zaskoczony tym, że Armand mówi do siebie – skoro on tego koniecznie żąda, postaram się dać mu nauczkę.

Armand wszedł ze starcem na drugie piętro pałacu, gdzie się znajdował obszerny pokój, zmieniony na salę fechtunkową, ponieważ kiedyś namiętnie uwielbiał szermierkę. Wziąwszy florety i maski, powiedział do starego żołnierza:

– Wpraw nieco rękę, zawsze jest to dobry środek ostrożności, jaki należy podjąć.

Hrabia i jego stary przyjaciel walczyli blisko przez godzinę.

– Masz dobrą metodę walki – stwierdził pan de Kergaz – przegub ręki mocny i dość zwrotny, lecz nogom brakuje należytej giętkości. Będziesz musiał zabić przeciwnika przy pierwszym natarciu, inaczej sam zginiesz.

– Postaram się – odrzekł z zimną krwią Bastien.

Zjadłszy z doskonałym apetytem kolację, udał się na spoczynek ze spokojem dzielnego starca, którego śmierć ciągle omija, i spał bez przerwy aż do rana.

Amand, który nocował na kanapie, obudził go o szóstej, mówiąc:

– Dalej, wstawaj! Stąd do Lasku Bulońskiego jest dobra godzina drogi, a wypada nam przybyć tam jako pierwsi. Francja nie może się spóźnić.

Bastien ubrał się zwinnie, ale do swojej toalety przyłożył się z drobiazgową starannością dawnych oficerów, którzy kiedy ruszali do ataku, zawsze się pudrowali i żądali galowego munduru. Na cienką batystową koszulę, którą spiął dużą szpilką z diamentem, prezent od nieszczęsnej matki, Armand włożył białą pikowaną kamizelkę. Na wierzch włożył granatowy surdut, w butonierce którego widniała wstążeczka Legii Honorowej, potem założył lakierowane buty oraz lekko szerokie huzarskie spodnie z czarnego kaszmiru, co całemu ubiorowi nadawało wojskowy wygląd.

Pan de Kergaz ubrał się całkiem na czarno, jak i Bastien również przypiął odznaczenie, bowiem król Ludwik Filip¹ raczył ude-

¹ *Ludwik Filip I* (1773-1850) – król Francuzów, ostatni monarcha Francji z rodu Burbonów (linia orleańska); panował w latach 1830-1848.



korować rzeźbiarza Armanda nagrodą Rzymu, a hrabia de Kergaz daleki był od tego, by wypierać się duszy artysty.

Dwie szpady przywiezione z Włoch, z ostrzami z hartowanej stali, umieszczono w pudle powozu, którym niezwłocznie obaj odjechali.

Ekwipaż hrabiego de Kergaz przebiegł wyciągniętym kłusem Pola Elizejskie, nie spotkawszy żadnego innego powozu. O tak rannej porze najelegantsza dzielnica Paryża była pusta, ale przy rogatce dopędził go amerykań, zaprzężony w jednego konia, kierowany przez jakiegoś młodego człowieka.

– Oto sir Williams – powiedział Bastien, wskazując młodzieńca, przy którym siedział sir Ralph O..., podczas gdy Artur G... usadowił się na tylnym siedzeniu.

Armand spojrział z ciekawością na człowieka, którego Bastien wziął za Andreę. Teraz on zadrżał i żywo zapytał:

– Jesteś pewny, że to nie Andrea?

– Och! Nie ma wątpliwości – odparł Bastien. – Mam na to niezbite dowody, lecz podobieństwo jest bardzo dziwne.

Baronet i jego sekundanci jako ludzie dobrze wychowani ukłonili się Armandowi i Bastienowi, po czym jechali razem, nie chcąc wyprzedzać przeciwników, ani też pozostawać w tyle. Oba ekwipaże przejechały razem aleją de Neuilly i wjechały do bramy Maillot, gdzie na drodze czekał na nich jakiś jeździec.

Był to dowódca szwadronu z pułku huzarów, wówczas stacjonującego w koszarach przy nabrzeżu d’Orsay, przyjaciel pana de Kergaz, którego poprzedniego dnia poprosił, by zechciał towarzyszyć Bastienowi w charakterze drugiego świadka.

Dowódca szwadronu zszedł z konia, Armand, Bastien i Williams wraz ze świadkami wysiedli z powozów i sześciu mężczyzn ruszyło pieszo do Lasku Bulońskiego, w którym jakieś sto metrów od pawilonu d’Armenonville znaleźli polankę nadającą się na spotkanie. Teren był dobry, ogołcony z trawy i wysypany drobnym piaskiem.

Podczas gdy sir Williams i Bastien po ponownym ukłonieniu się stanęli w pewnym oddaleniu od siebie, Ralph O... i dowódca szwadronu ustalali dokładne warunki spotkania. Pan de Kergaz, śledząc badawczym spojrzeniem baroneta, powiedział do Artura G..., drugiego sekundanta:



- Otóż panie, mamy na tyle poważną sytuację, w której należy pomówić otwarcie, swobodnie, odkładając na bok wszelką osobistą zawiść i urazę.

- Jestem tego samego zdanie, panie.

- Pozwoli mi pan zadać jedno pytanie?

- Słucham, niech pan mówi.

- Od jak dawna zna pan sir Williamsa?

- Zaledwie od dwóch miesięcy.

- Jest pan przekonany, że on rzeczywiście jest baronetem irlandzkiego pochodzenia?

- Widziałem jego rodzinne dokumenty, panie.

- To dziwne! - mruknął pan de Kergaz. - Przysiągłbym, że to mój brat...

- Panie - odparł Artur G... - rozumie jednak pan, że jakkolwiek jest, nie mam prawa ja, który widziałem jego dokumenty, tytuły, listy polecające na nazwisko sir Williamsa, baroneta i irlandzkiego szlachcica, by utożsamiać go z wicehrabią Andream, pańskim bratem. Zachodzi tu wyraźnie pomyłka.

- Panie - odparł zimno Armand Kergaz - Zadając te pytania, pragnąłem uzyskać jedynie zwykłe informacje.

Obaj młodzieńcy uklonili się sobie wzajemnie, poświadczając tym, że rozmowa zakończyła się wspólnym porozumieniem, po czym sir Artur zbliżył się do Ralpa O..., natomiast Armand podszedł do dowódcy szwadronu.

- Dziwnie błahy jest powód tego pojedynku - stwierdził ten ostatni - poza tym pomiędzy dwoma przeciwnikami istnieje ogromna różnica wieku, co jest aż nadto wystarczające, by nie nadawać tej sprawie poważniejszego charakteru.

- Ma pan rację - odparł Ralph O...

- Sądzę więc, że ci panowie powinni bić się tylko do pierwszej krwi.

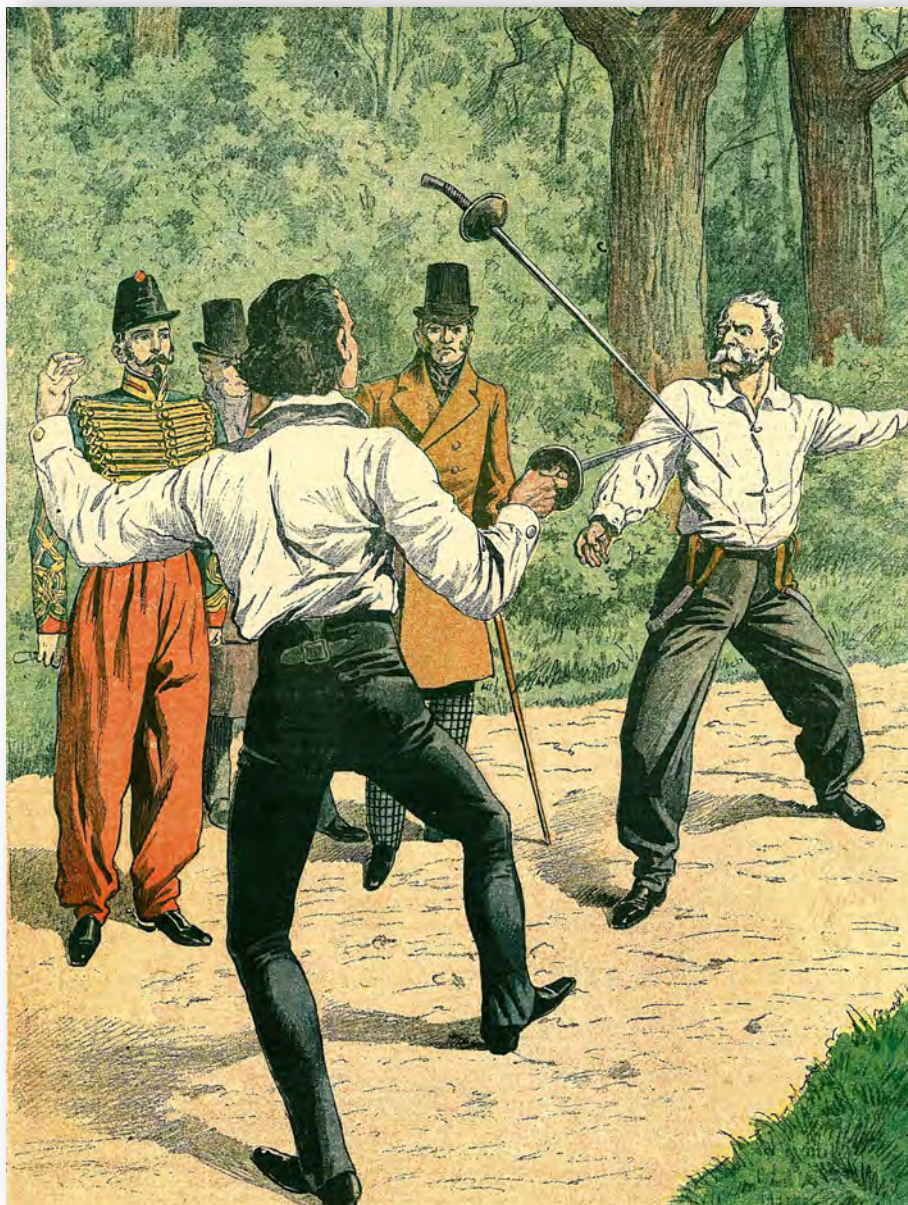
- Byłoby to zupełnie wystarczające.

- Nie wolno zanurzać ostrza szpady w ciało głębiej niż dwa cale.

Ralph O... skłonił się na znak przyzwolenia.

- Panowie! - powiedział, zwracając się do dwóch przeciwników, którzy podeszli bliżej - zachciejcie natychmiast zdjąć wierzchnie ubrania.





*Opart swoją na piersi starego żołnierza,
łączę wraz z tym odparciem cięcia akt rozbrojenia.*

Sir Williams, z którego Armand nie spuszczał badawczego spojrzenia, usiłował okazać się niewzruszony i odparł spokojnym głosem, w którym przebiegał lekko angielski akcent:

– Pogoda wprawdzie jest ładna, ale jest zimno. Żałuję, że nie wybrałem pistoletów, bo wówczas nie musiałbym się rozbiierać.

To mówiąc, zdjął odzienie, a spostrzegli, że Bastien również zdjął swoje, lecz zostawił przy szyi krawat, rzekł:

– Przepraszam, panie, ale skoro zatrzymujesz krawat, to i ja założę swój. Uchroni mnie to przed zakatarzeniem.

– Nie – odezwał się Armand suchym tonem – zdejmij krawat, panie Bastienie, to może odparować pchnięcie szpada.

– Jak chcecie... – mruknął sir Williams z tak doskonałym spokojem, że teraz zniknęły ostatnie wątpliwości pana de Kergaz.

„Ten człowiek jest Anglikiem – pomyślał. – To nie może być Andrea”.

Wydobyto szpady. Los wskazał na sir Williamsa, więc miano walczyć jego bronią.

– Naprzód, panowie – powiedział Ralph O... w chwili, gdy obaj przeciwnicy przyjęli postawę szermierczą.

Pan de Kergaz trafił w sedno, mówiąc, że kiedy Anglik już się pojedynkuje, to musi być doskonałym fecht mistrzem, co dało się zauważyć od pierwszego natarcia.

Sir Williams, człowiek tak flegmatyczny, którego wszystkie ruchy cechowała angielska sztywność, znalazłszy się na placu walki, okazywał zdumiewającą giętkość i kocią zwinność, z jaką wymykał się spod gwałtownych natarć starego żołnierza. Jego szpada, którą wydawał się trzymać końcami palców – taką miał lekką rękę – wydawała się rozszczepiać i mnożyć, kiedy stosował parady z niesamowitą gibkością, podczas gdy mężczyzna, który nią władał, wyginał się lub nacierał z ogromną prędkością.

Przez pięć minut Bastien, zaciekły, zdyszany, daremnie usiłował zadawać najstraszniejsze ciosy sir Williamsowi. Wszystkie zostały sparowane, ale baronet nie ripostował.

Z każdą minutą stary żołnierz, nieznający wytwornych subtelności tej straszliwej gry, która stała się prawdziwą sztuką w rękach współczesnych mistrzów szermierki, popełniał błąd za błędem, broniąc się źle, odsłaniając ramiona, odkrywając się... a sir Williams tylko parował, lecz nie atakował.



– Oszczędza mnie! – szeptał z gniewem Bastien. – Oszczędza mnie, mnie, cesarskiego huzara!

Armand, widząc, że każdy inny, mniej szlachetny dżentelmen, już dawno zabiłby Bastiena, mówił do siebie:

„Andrea nie byłby tak wspaniałomyślny... Zdecydowanie to nie on”.

W końcu jednak, aby położyć kres tej jałowej walce, w chwili gdy Bastien odbijał cięcie szpady, baronet szybko związał ją podwójną tercją², wytrącił energicznym ruchem przegubu ręki i podczas gdy szpada odleciała na dwadzieścia kroków, on oparł swoją na piersi starego żołnierza, łącząc wraz z tym odparciem cięcia akt rozbrojenia, przekonując, że cios był honorowy i że mógł bez żadnych wyrzutów sumienia zabić swego przeciwnika.

Szpada Williama rozdarła starcu tylko koszulę na piersiach, a zadowolony owym zwycięstwem bez rozlewu krwi baronet odsunął się krok do tyłu i podniósł w górę ostrze swej broni.

– Dość, dość, panowie! – zawołał Armand, zadrżawszy od stóp do głowy w owym strasznym momencie.

Bastien, zakławszy głośno, chciał pobiec po szpadę, lecz pan de Kergaz zatrzymał go.

– Za późno! – rzekł. – Nie masz prawa rozpoczynać walki na nowo. Mógł cię zabić, a jednak tego nie uczynił.

Sir Williams żywo podszedł do swego przeciwnika.

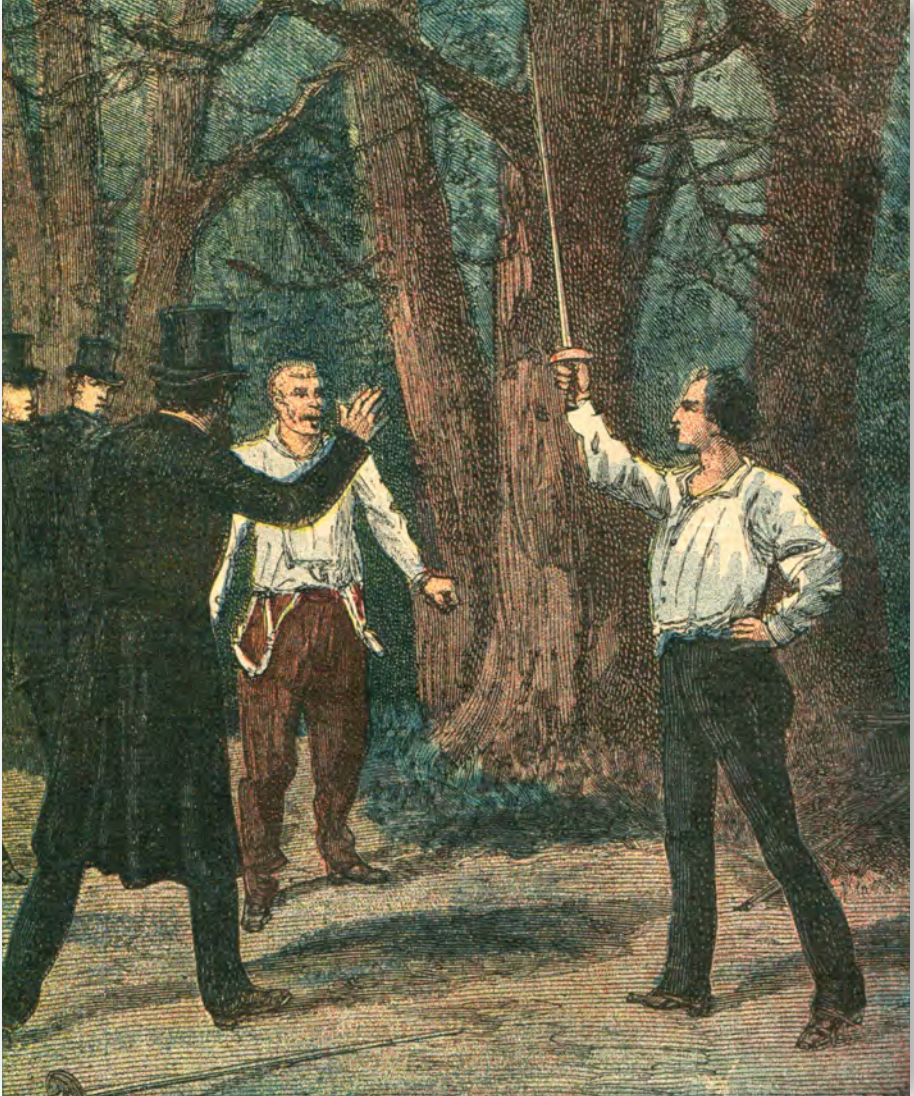
– Czy w obecnej chwili zechce przyjąć pan przeprosiny za moje nadmierne przewrażliwienie i szczerze uściskać dłoni?

Zły humor nie powstrzymał starego mruka od zadośćuczynienia temu żądaniu. Podał więc rękę sir Williamsowi, który nadal zachowując akcent ludzi z drugiej strony Kanału La Manche, dodał:

– Pozwólcie teraz, panowie, że wyjaśnię wam moje zachowanie. Mój czcigodny przeciwnik przed dwoma dniami szczerze mnie przeprosił i co przyznaję, przeprosiny te były wystarczające, jednak dzień wcześniej w moim klubie, zapytany przez moich rodaków o opinię w sprawie pojedynków, którymi w głębi duszy brzydzę się tak jak oni, nagle przez jakąś przekorę stwierdziłem, że prawdziwy dżentelmen musi walczyć, czemu chętnie chciałem dać przykład. Potrzebowałem

² Tercja – w szermierce: pozycja obronna chroniąca bok przed ciosem.





*Baronet odsunął się krok do tyłu
i podniósł w górę ostrze swej broni.*

więc mojego małego pojedynku, a że pan Bastien dostarczył mi ku temu okazji, chwyciłem się tego... Ot i wszystko!

– Wszystko mi jedno! – mruknął Bastien z resztką urazy, zła-godzonej jednak szczerym uśmiechem. – Ale żeby taki wytrawny żołnierz jak ja pozwolił się tak rozbroić... To wstyd!

I Bastien po raz drugi uściśnął sir Williamsa.

Po tym baronet podszedł do pana de Kergaz.

– Mówią, panie hrabio – powiedział – że mam być zdumiewająco podobny do pańskiego brata, którego poszukujesz na całym świecie?

– Uderzająco podobny – odparł Armand w zamyśleniu. – Jednak Andrea był blondynem...

– A ja jestem brunetem... Moje są dobrze ufarbowane... – dokończył sir Williams, a potem dodał: – Jednakże jeśli nadal ma pan jakiegokolwiek wątpliwości, uczyni mi pan zaszczyt, przyjmując zaproszenie na śniadanie u mnie w jakimkolwiek dniu. Jako dowód mogę wtedy panu pokazać moje drzewo genealogiczne.

– Panie... – rzekł Armand.

Baronet przybrał ufny wyraz twarzy i ściszym głosem rzekł do Armanda, Bastiena i świadków:

– Panowie, bez wątpienia przynajmniej raz w życiu się zakochaliście. Ja także jestem zakochany. Przyjemność bycia z wami dziś rano pozbawiła mnie możliwości zobaczenia mojej kochanki zeszłej nocy, więc pragnę nadrobić stracony czas... Teraz moja kochanka żyje w tajemniczej chatce zagubionej na skraju lasu, do której nikt nie ma wstępu. Pilnuję jej z dziką zazdrością smoka, a zatem będę zmuszony was opuścić.

A spoglądając na Armanda, dodał:

– Panie hrabio, byłbyś najsympatyczniejszym człowiekiem na świecie, gdybyś zaoferował dwa miejsca w swoim powozie moim przyjaciółom, bym mógł dowolnie rozporządzić moim tilbury, ponieważ nie wracam do Paryża.

Pan de Kergaz uklonił się na znak przyzwolenia i wszyscy razem poszli do bramy Maillot, gdzie oczekiwały na nich powozy.

Tam sir Williams, wskoczywszy zwinnie do swego tilbury, powiedział do Armanda:

– Nieprawdaż, panie hrabio, że świątynią naszego szczęścia może być tylko dom ukochanej przez nas kobiety?



– Zapewne... – wyszeptał pan de Kergaz, myśląc o Jeanne.

– I że jeżeli ma się narzeczoną, którą się uwielbia, trzeba ją dobrze ukrywać przed ludzkim wzrokiem... – dodał z owym demonicznym uśmiechem na ustach, w którym nagle ukazała się przewrotna i nikczemna dusza wicehrabiego Andrei.

Armand zadrżał, na nowo ogarnięty wątpliwościami.

– Jeżeli kochasz kobietę, to radzę ci, pilnuj jej dobrze – zakończył sir Williams, zaciął konia batem i błyskawicznie odjechał.

Tym razem Armand zbladł jak śmierć, ponownie pomyślał o Jeanne i o swoich obawach.

Sir Williams, mówiąc to, przemówił drwiącym głosem przekłętogo Andrei, a wybuch jego śmiechu rozbrzmiewał w głębi serca pana de Kergaz jak głos żałobnego dzwonu.

Tymczasem baronet, pędząc jak strzała aleją de Neuilly, przejechał przez most, dotarł do Courbevoie, Nanterre i Rueil, pojechał wzdłuż parku Malmaison³ i znalazł się u wlotu do małej doliny otwierającej się za Bougival⁴, tą osadą rybaków i artystów.

Minął jedyną ulicę wioski i kościół, dotarł na sam kraniec dolinki koło Lucienne i w końcu zatrzymał się przed bramą rozległej posiadłości, otoczonej wysokim murem i obsadzonej wyniosłymi drzewami, na samym końcu której można było dostrzec ładny mały pałacyk w nowoczesnym stylu, natomiast w przeciwnym kierunku, w kącie parku, mały wiejski domek.

Ten domek był właśnie tym, do którego przed dwoma dniami Colar przywiózł Cerise, powierzając ją straży wdowy Fipart.

Tylko że Colar wszedł do parku przez małą boczną furtkę, podczas gdy sir Williams wjechał przez bramę, której powoje były szeroko otwarte.

³ *Malmaison* – wieś, od 1928 Rueil-Malmaison, miejscowość i gmina we Francji, w regionie Île-de-France, w departamencie Hauts-de-Seine; znajduje się tu były zamek Józefiny de Beauarnais, cesarzowej Francji, nazwany zamkiem w Malmaison (fr. Château de Malmaison); zameczek wraz z przylegającym do niego terenem został zakupiony i odnowiony przez Józefinę w 1799 roku, gdzie zamieszkała wraz ze swoim mężem, Napoleonem Bonaparte, przyszłym cesarzem Francji.

⁴ *Bougival* – miejscowość i gmina we Francji, w regionie Île-de-France, w departamencie Yvelines, położona na lewym brzegu Sekwany, 20 km na zachód od Paryża.

Williams, rzuciwszy okiem na piaszczystą, wilgotną drogę alei, dostrzegł na niej ślady przejeżdżającego niedawno powozu.

– Doskonale! – powiedział z westchnieniem ulgi. – Sprawa załatwiona... Jeanne jest moja.

Tilbury zatrzymało się przed schodami pałacyku, na górze których sir Williams dostrzegł siedzącego Colara, spokojnie palącego cygaro i rozkoszującego się promieniami wschodzącego słońca.

– I cóż? – zapytał żywo baronet, oddając mu lejce.

– Ptaszek śpi – odparł Colar.

– Tutaj? – zdziwił się zaniepokojony Williams.

– Do licha, tak, panie kapitanie!

– O której godzinie daliście jej narkotyk?

– O dziesiątej wieczorem.

Williams spojrzął na zegarek.

– Teraz jest ósma rano – stwierdził – będzie zatem spała jeszcze dwie godziny.

Baronet wraz z Colarem ruszyli schodami małej willi i po przejściu salonu weszli do sypialni, gdzie niedawno widzieliśmy budzącą się pannę de Balder, bardzo zaskoczoną tym, że znajduje się w takim miejscu.

Gdy sir Williams wszedł, dziewczyna ciągle spała, rozciągnięta na kanapie. Baronet stanął przy niej i zaczął się w nią wpatrywać.

– Doprawdy, mała jest bardzo ładna – szepnął. – Nigdy jej wcześniej nie widziałem, lecz gratuluję Armandowi, bo ma dobry gust.

Potem nagle zmarszczył brwi i popatrzył na Colara.

– Czy... przypadkiem... nie skusiłeś się...? – zapytał.

– Na honor, nie! – odparł Colar. – Co prawda jest ładna, ale na zbyt blada, a ja lubię tylko rumiane...

– Och, już tobie przebaczyłem... W końcu nie jestem uprzedzony... *per Bacco!*⁵, jak mówił mój zmarły czcigodny ojciec – powiedział Williams, a potem jeszcze zapytał:

– A co zrobiłeś ze starą?

– Po prostu położyłem ją na jej łóżku, umieściwszy tuż przy jej rękę wiadomy list, w którym nasz były pomocnik notariusza tak dobrze naśladował pismo tej panny.

⁵ *Per Bacco!* (wł.) – a niech to!; na Bachusa!



- Doskonale!

- Co do Cerise - mówił dalej Colar - to podobno ona i wdowa Fipart nie mogą się jakoś ze sobą porozumieć. Mała wciąż płacze, a stara, która jest gorsza od małpy, nieustannie ją dręczy.

- Tego właśnie nie chcę - rzekł Andrea. - Jeżeli tak jest, to musisz się nią zająć.

- Do licha! - odparł rozdrażniony Colar. - Żądał pan kogoś zaufanego, a ja miałem pod ręką tylko tę staruchę, która jest gospodynią naszego Nicolo, więc to ją wykorzystaliśmy, ot i wszystko. Zresztą nie wiedziałem, że ma taki okropny charakter.

Williams nic na to nie odpowiedział, może nawet nie słyszał usprawiedliwień Colara, tak był pogrążony z rozmyślaniami. Ze skrzyżowanymi ramionami stał przed uśpioną dziewczyną, wpatrywał się w nią i wydawało się, że zapomniał o współniku.

- Pójdiesz - odezwał się wreszcie - i odszukasz tę kobietę, tę wdowę Fipart, i powiesz jej, żeby przygotowała Cerise na moją wizytę.

Colar wyszedł, pozostawiając baroneta przy pannie de Balder, pogrążonej w letargicznym uśpieniu.

Sir Williams usiadł przy gerydonie i zaczął pisać ten długi list, znaleziony przez Jeanne po jej przebudzeniu.

Kiedy go skończył, na jego wargach zagościł gorzki i straszny uśmiech.

- Ha...! - powiedział. - Mój drogi bracie, mój ukochany Armandzie, przysłała mi do głowy wspaniała myśl, zobaczysz... Sądzę, że oprócz zagarnięcia milionów pocziwego barona de Kermarouet, uda mi się także dokonać pięknej zemsty! Ach, wypędziłeś mnie jak złodzieja! Ach, zabrałeś mi Marthe, jedyną kobietę, którą kochałem! Ach, nazwałeś mnie przeklętym Andrea i masz nadzieję być szczęśliwy? Nigdy! Otóż ta dziewczyna, której piękno spowodowało bicie twego serca, leży tam, uśpiona, nieruchoma, w mojej mocy... Ktoś inny niż ja zadowoliliby się, zachowałby się podle i brutalnie w swej zemście, ale ja będę wyrefinowany, elegancki i okrutny... Wcale nie zależy mi na posiadaniu Jeanne, lecz na jej sercu! Ona zaczynała ciebie kochać, więc teraz mnie pokocha! Wczoraj w jej oczach byłeś szlachetnym, cnotliwym i bogatym hrabią Armandem de Kergaz, od dziś będziesz dla niej bezczelnym hultajem, który przystroił się w ubiór i nazwisko swego pana, a wtędy ona tobą pogardzi!



Uśmiech sir Williama przerodził się w wybuch przeraźliwego śmiechu.

– Och, panie hrabio, przyszła mi do głowy świetna myśl, możesz mi wierzyć! – mówił dalej. – Od teraz już nie ty, ale ja będę hrabią Armandem de Kergaz! W dniu, w którym poślubię Hermine, w którym złoto Kermaroueta stanie się moją własnością, tego dnia wykrzyczę ci: „Armandzie! Armandzie! Jeanne, twoja ukochana, została moją kochanką, a ciebie wzięła na lokaja!”.

Sir Williams, którego twarz promieniowała piekielną radością, gwałtownie pociągnął za sznur od dzwonka.

We drzwiach ukazała się Mariette, pokojówka przeznaczona do usługiwania Jeanne.

– Przywołaj pozostałą służbę – polecił jej baronet.

Mariette wyszła i wróciła po chwili, przyprowadzwszy gospo-
się, lokaja i grooma.

– Słuchajcie mnie dobrze – powiedział sir Williams – sto luidorów miesięcznych poborów dla każdego z was, jeżeli będziecie twierdzić, że jestem hrabią Armandem de Kergaz, tak by wasza nowa pani była o tym przekonana... Jeśli nie, zostanieie od razu wypędzeni.

Sir Williams odprawił służbę, a wychodząc z pokoju, w którym spała Jeanne, dodał w myślach:

„Pójdę teraz udzielić lekcji Cerise. Gdyby Jeanne nie chciała uwierzyć służbie, to bez wątpienia uwierzy młodej kwiaciarce, która jest jej serdeczną przyjaciółką z dzieciństwa”.

Baronet opuścił willę i udał się w stronę znajdującego się w głębi parku wiejskiego domku, gdzie wyprzedzając go, odnajdziemy Cerise.



Rozdział XXX

Obietnice



Pozostawiliśmy Cerise upadającą na wznak na podłogę w sali na parterze, w tym małym domku w parku, gdzie zaciągnęła ją wdowa Fipart. Przyczyną omdlenia było wyznanie tej okropnej staruchy.

Kiedy Cerise odzyskała przytomność, wdowa Fipart przeprowadziła ją na pierwsze piętro domku i tam pozostawiła ją samą. Dziewczyna ogarnęła spojrzeniem wszystkie szczegóły tego pomieszczenia: nawoskowana podłoga, zasłony z prążkowanego drelichu, zegar z kolumnkami stojący między dwoma wazami z kwiatami oraz orzechowe łóżko i komoda. Ten pokój wyglądał tak, jakby należał do paryskiej robotnicy.

Dziewczę nie znajdowało się w zwykłym położeniu ludzi odzyskujących przytomność po długim omdleniu, usiłujących zbierać rozproszone wspomnienia i wiązać je razem od obecnej chwili aż do czasu, który poprzedzał ich omdlenie.

Ona od razu wszystko sobie przypomniała. Znalazłszy się sama w tym pokoju, w którym nigdy nie była, przypomniała sobie wdowę Fipart i jej ohydne wyznanie.

Jej pierwszym odruchem, pierwszą myślą było podbiec do drzwi i otworzyć je. Okazało się, że były zamknięte.

W pierwszym przystępie rozpaczycy zaczęła nimi szarpać, krzyczała, przyzywała pomoc.

Nikt nie odpowiedział na jej wołania.

Wówczas biedna dziewczyna wybuchła płaczem, a potem przez kilka godzin trwała bolesnym milczeniem, objąwszy głowę rękoma.

Około południa drzwi się otworzyły i weszła przez nie wdowa Fipart.

– Chodź, moja ślicznotko – powiedziała – zamiast płakać, chodź zjeść obiad.

Cerise odpowiedziała przeczącym ruchem głowy. Wdowa Fipart wyszła i zamknęła drzwi.

Powróciła dopiero wieczorem.

Biedna Cerise spała. Stara obudziła ją i powtórzyła prośbę, by poszła choć trochę zjeść.

Wisienka znowu odmówiła i dalej spała w ubraniu, znużona płaczem i zgryzotą. Nazajutrz obudziła się nieco spokojniejsza. Głód zmusił ją do przyjęcia lekkiego posiłku, jednak nie chciała wyjść z pokoju. Wówczas stara zaczęła ją znieważać i maltretować. Dziewczyna wzywała pomoc i chciała umrzeć.

Wdowa Fipart, zamknąwszy ją powtórnie, wróciła dopiero wieczorem, ciągle zirytowana, ciągle drwiąca, i oznajmiła jej o bliskich odwiedzinach jej pana.

Tak upłynęły trzy dni. Cerise czuła, że zaczyna tracić rozum, a jej rozpatrz przekładała się na łyzy.

Wreszcie trzeciego dnia, kiedy stała oparta o okno w stanie okropnego odrętwienia, usłyszała odgłos obracającego się klucza w zamku.

Biedna dziewczyna zadygotała, sądząc, że znowu zobaczy tyrana.

Tymczasem drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Był to baronet sir Williams.

Wtedy Cerise całkowicie straciła głowę, wydała z siebie przeraźliwy okrzyk i całą drżąca, schroniła się w przeciwległym kącie małego pokoiku. Można było sądzić, że baronet wszedł z bronią w rękę, aby ją zamordować, jednak sir Williams był spokojny, uśmiechnięty, a jego twarz, której umiał nadawać wyraz prawdziwej szczerości, nie mogła przerazić dziewczyny.

– Panno – powiedział, kłaniając się z wielką uprzejmością – uspokój się, jestem porządnym człowiekiem.

Cerise, znieruchomiła, opierająca się o ścianę w najciemniejszym kącie pokoju, patrzyła z nieufnością na przybysza, lecz nie było to już spojrzenie wyrażające strach.

– Zechcesz mnie wysłuchać? – zapytał łagodnym głosem, cały czas stojąc w postawie wyrażającej szacunek, co bardzo ujęło dziewczynę. – Chciałbym panie wyjaśnić kilka rzeczy.

– Ach, panie! – wyszeptła Cerise, której powróciło wspomnienie wszystkich doznanych krzywd. – To niemożliwe, żeby tyle zła, ile tutaj doznałam, uczyniono na pańskie polecenie, nieprawdaż?

– Co ci złego uczyniono? – zawołał sir Williams z udanym gniewem. – Kto śmiał...



– Panie, to ta straszna kobieta, której jestem więźniarką, tak mnie dręczy. Przywieziono mnie tu przemocą, powiedziano mi...

– Wszystko, co ci powiedziano, jest fałszem, drogie dziecko – przerwał jej baronet łagodnym tonem – a jeżeli źle się tu z tobą obchodziło, ja się za ciebie zemszczę...

– Panie, och, panie – błagała dziewczyna ze łzami – minęły już trzy dni, jak tutaj przebywam, nie wiedząc gdzie, bez wiadomości od tych, których kocham, od moich przyjaciół, od...

Przerwała na chwilę, zawahawszy się.

– Od Leona Rollanda, twego narzeczonego, prawda? – dokończył sir Williams ciągle serdeczny w głosie i gestach. – Leon jest dzielnym chłopcem zasługującym na twoją miłość, a ja was uposażę, byście oboje mogli być szczęśliwi.

– Ach! – wykrzyknęła Cerise z wielką radością. – Więc dobrze myślałam, kiedy nie chciałam wierzyć w to, co ta niegodziwa kobieta mi nagadała...

– Co ona ci powiedziała, moje dziecko?

– To, że znalazłam się tutaj z pańskiego rozkazu... ponieważ pan jest bogaty, a ja jestem tylko ubogą dziewczyną...

– Ach! – przerwał baronet, udając wielkie oburzenie. – Nikczemna! Jak to! Ja, hrabia Armand de Kergaz?

– Pan jest hrabią de Kergaz? – spytała żywo młoda dziewczyna.

– Tak, moje dziecko, i przekonam cię, że oboje dobrze się znamy. Znam Leona... przez Bastiena, wiesz, tego robotnika, który w ostatnią niedzielę jadł z wami obiad i który wskazał mój pałac jako miejsce swego zamieszkania.

– Tak... tak... przypominam sobie! – potwierdziła Cerise.

– A więc, moje dziecko, posłuchaj mnie, a przede wszystkim niczego się nie obawiaj. Widzę, że jesteś piękną i uczciwą dziewczyną, a człowiek, którego kochasz, jest godny twojej miłości... Ja także kogoś kocham i chcę być dla was przyjacielem, ojcem, nikim więcej.

W tym momencie sir Williams ujął rękę dziewczyny w swoje dłonie, a ona jej nie cofnęła. Potem popatrzył na nią z dobrotliwym, pełnym współczucia wyrazem twarzy i powiedział półgłosem:

– Biedne dziecko...! Co by się stało z tobą, gdyby nie ja?





– Zechcesz mnie wysłuchać? – zapytał łagodnym głosem,
cały czas stojąc w postawie wyrażającej szacunek.

Kiedy Cerise, ciągle wzruszona, patrzyła na tego człowieka, który już raz pojawił się jako zbawca, poczuwszy, że odzyskuje do niego pełne zaufanie, sir Williams mówił dalej:

– Pani Fipart, będąca wdową po moim ogrodniku, powiedziała ci, moje dziecko, tylko połowę prawdy. Faktycznie Colar sprowadził cię tutaj na mój rozkaz, ale nie po to, bym miał nastawać na twój honor. Należało ratować Leona, twego narzeczonego, i ocalić Jeanne.

– Jeanne? – powtórzyła zdumiona kwiaciarka.

– Tak... Jeanne de Balder, którą kocham i którą chcę uczynić moją żoną. Jeanne, która stała się, podobnie jak ty, ofiarą najbardziej ohydneho ataku.

– Mój, Boże, ja chyba zwariuję! – szeptała kwiaciarka, zupełnie nic nie rozumiejąc z dziwnych słów sir Williamsa.

– Posłuchaj mnie z uwagą – mówił łagodnie sir Williams – a przede wszystkim pomówmy o tobie, a później o Jeanne, gdyż was obie spotkały mniej więcej podobne zdarzenia... Ty kochasz uczciwego robotnika, Leona Rollanda, i on ciebie kocha... Za miesiąc mieliście wziąć ślub, czy tak?

– Tak – odpowiedziała Cerise.

– Masz jednak siostrę, moje biedne dziecko! – mówił dalej Andrea. – Siostrę tak zepsutą, jak ty jesteś cnotliwa. Siostrę, która już dawno weszła w życie przez drzwi występku i w której sercu szybko wygasły wszelkie uczucia wstydu... A więc ta twoja siostra... ta Baccarat, sprzedała za przyszłe zaszczyty honor swojej siostry człowiekowi na tyle bogatemu, że może wyrzucać złoto za okno, dostatecznie wysoko postawionego, by mieć nadzieję na bezkarność, wystarczająco potężnego, by odważyć się na wszystko... Człowiek ten, ze szponów którego już raz cię wyrwałem, zapłonął ku tobie jedną z tych szalonych namiętności, jakie wiodą aż na szafot. Ten mężczyzna, zdolny do popełnienia wszelkich zbrodni, zaprzysiągł, że nikt inny prócz niego nie będzie cię posiadać, i zapłacił bandytom...

– Wielki Boże! – krzyknęła Cerise, mocno wzburzona.

– Na szczęście, moje dziecko ja czuвам nad tobą i Leonem... Twego narzeczonego wywiozłem z Paryża, a ciebie tutaj zamknąłem, gdzie na pewno pan de Beaupréau nigdy nie przyjdzie cię szukać. Teraz rozumiesz?



- Tak - wyszeptła Cerise - ale co my takiego zrobiliśmy dla pana, że jest tak szlachetny i dobry?

- Moje dziecko - odparł baronet przejętym głosem - posiadam wielki majątek, którego używam, by czynić dobro i przeszkadzać złu... Mam na swoich usługach prywatną policję, od której wiem o wszystkim... Powiadomiony o grożącym ci niebezpieczeństwie, przybyłem... Oto cała tajemnica mojego postępowania.

- Panie - szepnęła dziewczyna, chwytając rękę baroneta i podnosząc ją do jego ust - jesteś tak dobry, jak dobry jest Bóg, i jeśli okazałoby się to konieczne, poświęciłam za pana swoje życie!

Sir Williams nic nie odpowiedział, ale z piekielnym uśmiechem powiedział do siebie w duchu:

„Jestem skończonym Armandem de Kergaz, doskonale go we wszystkim naśladowałem, aż po jego filantropijne wypowiedzi”.

Następnie ściskając rękę Cerise, powiedział głośno:

- Teraz pomówmy o Jeanne.

- Jak to, pan także ją zna?

- Ja ją kocham... - szepnął sir Williams, kładąc ręką na sercu namiętnym gestem pierwszego amanta w teatrze, a potem dodał:

- Podobnie jak ty, moja ukochana Jeanne uniknęła niebezpieczeństwa. To będzie dziwna historia, którą ci zaraz opowiem... Wyobraź sobie, że znalazł się zuchwalec, który ośmielił się przybrać moje nazwisko... Tym człowiekiem jest Bastien!

- Bastien! - wykrzyknęła Cerise. - Ten, którego widzieliśmy w Belleville?

- Tak, ten sam. Więc uwierzyłaś, biedne dziecko, że jedynie przypadek go tam sprowadził w samą porę, by przyjść z pomocą Leonowi...? A więc nie! Wszystko zostało przewidziane i wyliczone. Ci dwaj podejrzani ludzie, którzy wszczęli kłótnię z twoim narzeczoną, byli współnikami Bastiena...

- Co pan mówi? - wykrzyknęła Cerise, kompletnie zaskoczona.

- Tylko prawdę, moje dziecko. Bastien już kilka razy podążał za Jeanne, zapalał do niej miłością i wraz ze swymi przyjaciółmi ułożył tę komedię, którą znasz. Zaprosiliście go oboje z Leonem na obiad, po czym on odprowadził do domu pannę de Balder.

- Ach...! Teraz zaczynam rozumieć! - szepnęła kwiaciarka.



– Jeszcze nic nie rozumiesz, moje dziecko. Poczekaj...

Dziewczę spojrzało badawczo na sir Williamsa, który przyjął postawę prostodusznego człowieka mówiącego czystą i szczerą prawdę z elokwencją płynącą z serca.

– Bastien – mówił dalej sir Williams – jest człowiekiem inteligentnym i posiada dystygowaną powierzchowność. Bezczelny jak lokaj, którym faktycznie był, ponieważ był moim kamerdynerem, ośmielił sobie schlebiać, że jest kochany przez Jeanne. Zapożyczywszy najpierw nazwisko i stopień kapitana starego łotra z grona swoich przyjaciół, później przywłaszczył sobie mój tytuł i moje nazwisko.

Domniemany kapitan przybył zamieszkać w tym samym domu, co Jeanne; przedstawił się jej jako stary przyjaciel jej ojca, rozmawiał z nią o Bastienie, nadając mu moje nazwisko, sam bezczelnie przedstawiając się jako hrabia Armand de Kergaz. Wtedy Jeanne rozpoznała w nim człowieka z Belleville, a ponieważ młode dziewczyny mają romantyczne głowy, ujrzała w moim Bastienie bohatera jak z powieści i się w nim zakochała.

– Ach! – zawołała z oburzeniem Cerise. – Kamerdyner pokochany przez pannę de Balder! Nigdy!

– Przypadek, a raczej moja policja wszystko to odkryła, moja kochana Cerise. Zapragnąłem wtedy zobaczyć pannę de Balder i widziałem ją bez jej wiedzy, ponieważ znałem już jej wzruszającą historię. Ja także ją pokochałem, ale pokochałem jak człowiek uczciwy, honorowy, jak ten, który jej pragnie nadać swoje nazwisko. Tylko że zło było już daleko posunięte: Jeanne kochała oszusta... Należało więc nadal kontynuować jego dzieło, przed jego zdemaskowaniem. Uprowadziłem młodą dziewczynę zeszłej nocy, po tym, jak napisałem do niej list, i gdy spała, została przewieziona do małego pałacyku, który widzisz w głębi parku.

– Ona tu jest! – wykrzyknęła Cerise z radością.

– Chodź, idziemy ją zobaczyć – powiedział baronet, biorąc ją za rękę.

Na parterze baronet spotkał wdowę Fipart. Popatrzył na nią surowym wzrokiem i rzekł:

– Twój mąż był uczciwym człowiekiem i współczuję mu, że spędził życie z taką niegodziwą kobietą jak ty. Powierzyłem ci misję pilnowania tej dziewczyny i wiem, w jaki haniebny sposób wypełniałaś swoje zadanie. Wyjdź! Wypędzam cię!



Cerise dostrzegła, jak baronet wskazywał drzwi starej, lecz nie dostrzegła tajemnego znaku, jaki dał jednocześnie tej sekretnicy, który oznaczał: „To nadal twoja rola. Komedia, czysta komedia!”.

Sir Williams przeszedł z Cerise przez park i wprowadził ją do sypialni, gdzie spoczywała dotąd pogrążona we śnie Jeanne.

– Mój Boże! Jakże tu pięknie – powiedziała zdumiona kwiaciarka, klękając przy uśpionej pannie de Balder.

– Wszystko to jest własnością Jeanne, przyszłej hrabiny de Kergaz – odrzekł Williams. – A teraz posłuchaj mnie dobrze, droga Cerise. Jeanne teraz śpi, a kiedy się przebudzi, już mnie tu nie będzie. Wyjeżdżam na tydzień. Pozostaniesz w pałacyku, a Mariette, jej pokojówka, przygotowuje ją do spotkania z tobą i przez te dni kilka, przez które zmuszony jestem ukrywać cię przed twoją siostrą i nikczemnym de Beaupréau, zamieszkasz tu razem z Jeanne, będziesz dla niej siostrą, przyjaciółką, powiernicą.

– Tak, panie hrabio – rzekła Cerise.

– Będę codziennie pisywał do Jeanne. Ona zapewne będzie ci odczytywać moje listy. Nie powiadam jej jednak, że prawdziwym hrabią de Kergaz, tym, który ją kocha, nie jest ów niegodziwiec Bastien... Zostaw to działaniu moich listów i czasowi...

Cerise popatrzyła na sir Williamsa z zachwytem i powiedziała do niego:

– Poznawszy pana, czyż można by cię nie kochać?

– Pożegnaj cię, Cerise – rzekł Williams. – Muszę odjechać... Nie chcę, by Jeanne mnie tu widziała.

– Panie, kiedy znowu zobaczę Leona? – zapytała dziewczyna.

– Tak naprawdę to nie wiem... ale miej nadzieję i wiarę we mnie. Przysięgam ci, że przed upływem dwóch tygodni zostaniesz jego żoną!

Powiedziawszy to, wyszedł, pozostawiając dziewczynę uspokojoną tą obietnicą, a wsiadłszy w swoje tilbury, szepnął do Colara, który trzymał lejce:

– Sądzę, niech Bóg mi to wybaczy, że sztuczka się udała... Zrobiłem więcej niż to, że ukradłem Armandowi narzeczoną, ja skradłem mu także jego nazwisko! Obecnie zajmujemy się milionami pocziwego Kermaroueta, skoro moja zemsta jest na dobrej drodze.



– Miliony! – rzekł Colar pożądlivym głosem. – Oto najważniejsza rzecz!

– Podzielam twe zdanie i dlatego dziś wieczorem wyjeżdżam do Bretanii, gdzie poślubię pannę de Beaupréau.

Tak więc nikczemny Andrea triumfował we wszystkich sprawach: Fernand został uwięziony, Jeanne i Cerise bezprawnie pozbawione wolności, Baccarat zamknięta w domu obłąkanych.

Od tej pory hrabia Armand de Kergaz nie był w stanie odnaleźć śladów spadkobierców zmarłego barona Kermora de Kermarouet.



Rozdział XXXI

Wyjaśnienia



W dniu, w którym Cerise, wiedziona zdradzieckim listem swej siostry, udała się na ulicę Serpente, skąd została zawieziona przez Colara do wiejskiego domku w Bougival, wcześniej poszła około czwartej po południu na ulicę Chapon i zatrzymała się przy drzwiach pracowni pana Grosa, stolarza meblowego.

Leon, spostrzegłszy ją, natychmiast do niej wyszedł z dobrym i miłym uśmiechem na ustach.

- Dzień dobry, Cerise - powiedział, biorąc ją za rękę.

- Dzień dobry, Leonie - odparła dziewczyna.

- Moja dobra, kochana Cerise - mówił dalej robotnik po uściśnięciu ręki swej narzeczonej - jest mi tak ciężko na sercu...

- Ty? Masz jakieś zmartwienie? - spytała Cerise.

- Och! Nie przytrafiło mi się żadne nieszczęście - odparł, uśmiechając się - ale tak przyzwyczailem się widzieć cię kilka minut każdego dnia, że z przerażeniem myślę, iż jutro nie będę w stanie...

- Dlaczego? - zapytała dziewczyna z niepokojem.

- Szef posyła mnie z meblami do Montmorency. Mam je tam dostarczyć i ustawić. Jest tak wiele rzeczy do zrobienia, że zajmie mi to cały dzień i poranek następnego.

- Och, to bardzo przykre! - stwierdziła Cerise.

- Chciałem prosić pana Grosa, by sam tam pojechał, ale nie śmiałem... Należy jednak słuchać tych, którzy dają ci pracę...

- Masz rację, Leonie.

- Jednak tyle to mnie kosztuje...

- Powrócisz pojutrze wieczorem?

- Tak.

- A zatem - odpowiedziała Cerise, uśmiechając się - jak przyjeżdżesz do domu, spędzimy ze sobą cały wieczór i w ten sposób odrobimy stracony czas.

Posłała mu jeden ze swoich najpiękniejszych uśmiechów, ukazując przy tym białe zęby, a opuszczając Leona, uściśnęła mu rękę i powiedziała:

– Do zobaczenia za dwa dni.

Faktycznie, nazajutrz Leon Rolland pojechał do Montmorency, gdzie spędził cały dzień i nocował. Następnego dnia, wróciwszy około południa, udał się do warsztatu, niecierpliwie oczekując godziny, w której będzie mógł wreszcie pójść do Cerise. O ósmej wieczorem wspiął się zwinnie na szóste piętro do mieszkania kwiaciarki i zapukał, chociaż przez szpary w drzwiach nie dostrzegał żadnego światła.

Na jego pukanie nikt nie odpowiedział. Zapukał powtórnie.

To samo milczenie.

Pomyślał wówczas, że być może dziewczyna wyszło na miasto, chcąc kupić drewno lub chleb. Usiadł więc na ostatnim stopniu schodów i czekał.

Ułynęła godzina, a Cerise jeszcze nie wróciła.

Zniecierpliwiony robotnik zszedł na dół do budki dozorczyńni.

– Czy panienki Cerise nie ma w domu? – zapytał.

– Panny Cerise? – rzekła dozorczyńni. – Ach, to pan, panie Leonie.

– Tak, panie.

– Co cóż, już od dwóch dni nie widziałam panny Cerise.

– Jak to?! Od dwóch dni? – wykrzyknął Leon. – Co też pani mówi!

– Do licha, mówię najprawdziwszą prawdę. Przedwczoraj widziałam Fanny... Wie pan, pokojówkę pani Baccarat.

– No i? – zapytał robotnik, już zaniepokojony tym imieniem, ponieważ obawiał się przewrotnego wpływu tej szalonej osóбки na jej młodszą siostrę.

– Należy sądzić – mówiła dalej odzwierna, po części wtajemniczona w sprawy rodzinne młodej kwiaciarki – że coś przydarzyło się tej pięknej damie albo jej matce, może jedna albo druga zachorowała, ponieważ pokojówka była wyraźnie zmieszana, a panna Wisienka, wyszedłszy natychmiast, była również mocno zaniepokojona. Jak mówiłam, od przedwczoraj jej nie widziałam.

Leon już dalej nie słuchał i popędził jak strzała na ulicę Moncey, do pałacyku Baccarat. Tu jednak czekał go nowy zawód.



Brama pałacu, okna, drzwi, wszystko było szczelnie zamknięte. Dzwonił kilkanaście razy, lecz nikt nie przyszedł mu otworzyć.

W końcu jakiś posłaniec leżący na swoim nosidle przy rogu ulicy Blanche, zmęczony patrzeniem na to, jak młodzieniec nadaremnie dzwoni do bramy, wstał, podszedł do niego i powiedział:

- Tam nikogo nie ma.

- Jak to, nikogo?!

- No tak. Dobrze znam tę damę, która tutaj mieszka, bowiem często przynosiłem jej listy.

- No i co?

- To, że ona wyjechała.

- Wyjechała?! - zawołał Leon.

- Tak, wczoraj rano, natomiast matka i cała służba wynieśli się dzisiaj rano.

- Ależ to niemożliwe! - wykrzyknął Leon, nie panując nad sobą. - A gdzie wyjechała?

- Tego nie wiem - odparł posłaniec i odszedł.

Leon zupełnie nic z tego nie rozumiał. Wyobrażał sobie, że Baccarat uwiozła ze sobą swą siostrę, by dostarczyć ją jakiemuś rozpuśtnikowi.

Ryknął jak dzikie zwierzę i nie wiedząc sam, co robi, nie mając świadomości swoich poczynań, machinalnie poszedł na ulicę Bourbon-Villeneuve, mając nadzieję, że może jego matka coś mu powie o Cerise.

Wieśniaczka od dwóch dni nie widziała kwiaciarki.

Od matki udał się na ulicę Faubourg-du-Temple.

Cerise i tam się nie pojawiła.

Pobiegł wówczas do swego warsztatu, a zobaczywszy się z pryncypałem, który już położył się do łóżka, poprosił o radę.

Stolarz meblowy był mądrym i chłodno myślącym człowiekiem. Uspokoił zrozpaczonego robotnika, przekonał go, że niewątpliwie jego narzeczona przebywa na wsi ze swą siostrą, a ponadto obiecał mu, że jutro będzie mu towarzyszył w drodze do dzielnicowego posterunku policji, razem z nim poświadczając o zniknięciu młodej dziewczyny, gdyby do tego czasu jeszcze nie powróciła.

Leon Rolland, wróciwszy do domu, rzucił się na łóżko w ubraniu i pełen trwogi oraz niepokoju, spędził bezsennie noc.



Równy ze świtem pobiegł na ulicę Faubourg-du-Temple. Tam nadal nie usłyszał żadnych wieści o Cerise.

Wówczas pobiegł do swego szefa i razem udali się do komisarza policji.

Funkcjonariusz przyjął zeznania dwóch rzemieślników, a potem powiedział:

– W Paryżu na ogół porywa się dziewczęta za ich pełną zgodą, jednak wysłę zawiadomienie do prefektury. Proszę się zgłosić za dwa dni.

Dwa dni...! Do tego czasu można było umrzeć z niepokoju. Potem, nie wiedząc, co ma począć, gdzie się udać, Leon pomyślał, że dobrze byłoby pobiec do panny de Balder i zapytać ją o wieści o Cerise, mając nadzieję, że może dowie się, co się z nią stało. Otóż było to dokładnie w momencie, gdy sir Williams opuszczał Armanda i Bastiena przy bramie Maillot i podążał do Bougival, gdzie czekała uśpiona Jeanne.

Leon popędził z komisariatu na ulicę Meslay, gdzie oczekiwała go inna smutna scena.

Zastał szlochającą Gertrude, która poprzedniego wieczora, usnąwszy na krześle, nie umiała sobie wytłumaczyć, co wcześniej zaszło i dlaczego obudziła się, leżąc na łóżku. Podniosła się z niego i zapukała do pokoju Jeanne. Nikt nie odpowiedział. Weszła więc, sądząc, że jej młoda pani śpi. Pokój był pusty, a łóżko nienaruszone. Jeanne zniknęła bez śladu. Na stoliku, przy którym zwykle panna de Balder pracowała, leżał otwarty list. Przeczytawszy go, stara służąca zadygotała i wydała okrzyk rozpaczny.

– Boski Jezu! – szepnęła, chwając się i załamując ręce. – Moje biedne dziecko jest zgubione!

Oto, co zawierał ten list, który został podpisany przez Joannę, a jego pismo zostało tak cudownie podrobione, iż wydawało się, że napisała go młoda dziewczyna.

*Moja dobra Gertrude,
kiedy się obudzisz, nie ujrzysz już przy sobie twojej małej
Jeanne. Wyjeżdżam.*

*Wyjeżdżam na czas, którego nie mogę dokładnie określić,
i do miejsca, którego nie mogę Ci wyjawić.*

Chcesz wiedzieć dlaczego wyjeżdżam? Wyjeżdżam, bo uciekam przed człowiekiem, o którym myślałam, że go kocham, ale



go nie kocham, przed hrabią de Kergaz; wyjeżdżam, by złączyć się z mężczyzną, którego kocham, lecz nie mogę podać jego nazwiska.

Przebacz Twojej małej Jeanne, która cię opuszcza z bardzo bolejącym sercem.

Po przeczytaniu tego dziwnego listu stara służąca dostała zawrotów głowy i pytała się sama siebie, czy to jej się śni, czy też już jest obłąkana...

Było to własnoręczne pismo Jeanne. Czy więc mogła przypuścić, że dziewczyna została porwana i że ona nie pisała tego listu?

Gertrude nawet nie pomyślała o analizie postępowania swojej młodej pani; nie zadała sobie pytania, czy to bardziej niż nieprawdopodobne, że panna de Balder udawała, że kocha kogoś innego niż pan de Kergaz, podczas gdy poprzedniej nocy na klęczkach modliła się za niego?

Poczciwa kobieta zrozumiała tylko jedną rzecz: że Jeanne odjechała i być może już nigdy jej nie zobaczy.

Ponieważ panna de Balder była jej dzieckiem, które kochała jak nic innego na świecie, Gertrude tonęła we łzach i rwała sobie włosy z głowy w chwili, kiedy pojawił się Leon Rolland, też niesamowicie wzburzony.

Boleść starej kobiety, którą zastał samą, zmusiła młodzieńca, by przez chwilę nic nie mówił o swoim własnym bólu.

– Mój Boże! Co się stało, pani Gertrude, i gdzie panna Jeanne? – zapytał.

– Ona wyjechała! – odparła służąca, płacząc.

– Wyjechała...? Dokąd...? Kiedy?... Z kim...?

– Nic nie wiem – odpowiadała Gertrude, podając Leonowi list znalezionej na stole.

Rzemieślnik ze zdumieniem przeczytał te kilka linijek i list wypadł mu z rąk.

– Wszystko to może doprowadzić do szaleństwa! – szepnął zupełnie ogłupiały. – Cerise także wyjechała!

– Cerise wyjechała? – spytała Gertrude.

– Tak, ze swoją siostrą – potwierdził Leon, chwiejąc się na nogach jak pijany człowiek.



Gdy kończył te słowa, na schodach rozległy się szybkie kroki i w otwartych drzwiach Gertrude i Leon, obróciwszy się, ujrzeli starca oraz młodzieńca.

– Pan hrabia de Kergaz! – wykrzyknęła Gertruda.

– Robotnik z Belleville! – zawołał Leon, który cofnął się, bardzo zdumiony, poznając w człowieku nazwanym hrabią de Kergaz mężczyznę, który wspomógł go w restauracji „Pod Burgundzkim Wino-gronem” i którego uważał za swego kolegę.

Byli to w rzeczy samej Armand z Bastienem, powracający z pojedynku, których zostawiliśmy przy bramie Maillot razem ze świadkami sir Williamsa.

Williams w chwili odjazdu, jak sobie przypominamy, wybuchnął tak przeraźliwym i szyderczym śmiechem, że pan de Kergaz poznał po nim Andreę i wówczas pomyślał o Jeanne, którą on tak kochał, a której baronet radził mu pilnować z czujnością smoka.

Wsiadłszy cały zamyślony do powozu, kazał woźnicy pędzić co prędzej, a wysadziwszy obu świadków Williamsa na bulwarze, ciągle ścigany wybuchem tego piekielnego śmiechu, który ponuro rozbrzmiewał w głębi jego serca, powiedział do Bastiena:

– Mam okropne przecucie... Spieszmy się na ulicę Meslay!

Na widok przerażonego Leona i tonącej we łzach Gertrude pan de Kergaz odgadł, że zdarzyło się nieszczęście.

– Jeanne! – zawołał. – Gdzie jest Jeanne?

Leon w milczeniu podał mu list. Armand przeczytał go, potem jeszcze raz, zachwiał się i oparł się o ścianę, aby nie upaść.

– Andrea! – szepnął. – Wszystko to jest na pewno dziełem Andrei! Faktycznie tak było.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

